

Bobrowski, Tadeusz

Wspomnienia współwięźnia o generale "Nilu"

Przegląd Pruszkowski nr 2, 72-84

1993

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych mazowsze.hist.pl.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Wspomnienia współwzniecia o generale "Nilu"



Tadeusz Bobrowski - zdjęcie z karty repatriacyjnej

Tadeusz Bobrowski urodził się w Pruszkowie, gdzie spędził dzieciństwo i pierwsze lata młodości. Jego biografia do chwili wybuchu wojny była typowa dla dzieci z inteligentnych domów: szkoła - jak się wówczas mówiło "powszechna" - im. Stanisława Żółkiewskiego, potem gimnazjum im. Mikołaja Reja w Warszawie. W momencie wybuchu wojny zdał do trzeciej gimnazjalnej.

W latach okupacji niemieckiej, jak cała niemal polska młodzież, znalazł się w szeregach Armii Krajowej pod pseudonimem "Witeź". W konspiracji nie pełnił żadnych poważniejszych funkcji, gdyż był zbyt młody, aby posiadać konieczne w takim przypadku doświadczenie. Wykonywał jednak sumiennie polecenia przełożonych, co nierzadko stwarzało sytuacje, z których wychodził obronną ręką tylko dzięki przysłowiowemu łutowi szczęścia.

Godzina "W" na terenie Pruszkowa miała inny przebieg, niż w Warszawie. Zbiórka żołnierzy AK nastąpiła tu dopiero o godzinie 21⁰⁰. Miało to jednak dobrą stronę z uwagi na bezpieczeństwo powstańców, jakie dawał sierpniowy wieczór, tego dnia pochmurny i dżdżysty.

Po nieudanej próbie zdobycia domów dzielnicy Ostoja, gdzie kwatrowali Niemcy, powstańcy pruszkowscy wycofali się przez Lasy Chlebowskie i Sękocińskie do Puszczy Kampinoskiej, a następnie w Góry Świętokrzyskie.

Cały ten szlak przebył także Tadeusz Bobrowski. Po upadku powstania w Warszawie, dowództwo, któremu podlegało zgrupowanie w Górach Świętokrzyskich, podjęło decyzję o rozwiązaniu oddziałów z uwagi na dużą koncentrację wojsk niemieckich, jak również na niedostatek broni i zaopatrzenia, jakim dysponowali powstańcy. Pozostać w lesie mieli tylko "spaleni". Pluton podporucznika "Orlika" (Tadeusza Nowickiego), w którym służył Tadeusz Bobrowski, powrócił do Pruszkowa.

Nadszedł styczeń 1945 roku, a wraz z nim tak długo oczekiwane wyzwolenie, którego oblicze przybrało jednak wyraz jakże inny od oczekiwań społeczeństwa polskiego. Zjawiskiem niewątpliwie pozytywnym było uruchomienie szkół. Ocalała z okupacyjnej pożogi młodzież mogła wreszcie zająć swoje właściwe miejsce, to jest zasiąść w ławkach szkolnych. Do liceum w Piastowie zaczął uczęszczać także niedawny powstaniec "Witeź", obecnie Tadeusz Bobrowski licealista.

Los zrządził, że wracającego któregoś dnia ze szkoły Tadeusza (a drogę z Pruszkowa do Piastowa i z powrotem przebywał "per pedes"), zaczął jeden z kolegów. Był to chłopak z gatunku tych niepoprawnych aktywistów, którzy za wszelką cenę, często wbrew zdrowemu rozsądkowi, żyją pod hasłem "byle działać!" Zaproponował on Bobrowskiemu wydawanie gazetki, czegoś w rodzaju biuletynu informującego o faktycznych wydarzeniach w świecie i podnoszącego na duchu społeczeństwo w okowach nowej okupacji. Kolegium redakcyjne miało składać się z nich dwóch i jednej z koleżanek zamieszkałej w Piastowie. Tadeusz wyraził zgodę, choć miał nader mgliste pojęcie o czekających go obowiązkach.

Nim jednak zyskał jakiegokolwiek rozeznanie w tym względzie, powiadomiono go, że ów kolega - inspirator gazetki - wyszedł właśnie z więzienia i wzywa go do siebie. Tam dopiero Tadeusz dowiedział się, że pierwszy numer konspiracyjnego wydawnictwa ujrzał już światło dzienne i że na skutek tego kolega redaktor - założyciel dostał się do więzienia, gdzie był torturowany, lecz współpracowników gazetki nie wydał. Jako dowód swych więziennych przeżyć zademonstrował sine od uderzeń plecy.

W niedługi czas po wspomnianych odwiedzinach, do Tadeusza Bobrowskiego, wracającego ze szkoły, podszedł mężczyzna ubrany w polski płaszcz wojskowy bez dystynkcji, pytając o nazwę ulicy. Gdy Tadeusz

zatrzymał się, nieznajomy pokazał ukryty w kieszeni pistolet i polecił iść za sobą. Dotarli tak na ulicę Klonową, gdzie napastnik zdjął płaszcz i oczom Tadeusza ukazał się mundur kapitana NKWD. Oznajmił on aresztowanemu, że jest oskarżony o redagowanie nielegalnego pisma wymierzonego przeciw ZSRR. Tak zaczął się następny etap wydarzeń w życiu Tadeusza Bobrowskiego związanych z okupacją, tym razem sowiecką.

A oto jego relacja, publikowana w numerze 2336 "Przekroju" z 1 kwietnia 1990 roku, spisana dla Marii Fieldorf i Leszka Zachuty, autorów książki o generale Auguście Emilu Fieldorfie. Książka ta ukazała się w czerwcu 1993 roku nakładem Wydawnictwa "Pax" w Warszawie.

Wieczorem, ze związanymi rękami, przewieziono mnie do Włoch, do domku przy ulicy Cienistej (koło parku). Tu nastąpiło kolejne, dużo ostrzejsze przesłuchanie, po którym sprowadzono mnie do piwnicy. Około drugiej w nocy zostałem wypędzony na korytarz i dołączony do czekającej grupy. Uwagę moją zwrócił szczupły, ciemnowłosy pan o bystrym spojrzeniu. Może właśnie wśród innych przestraszonych tak mnie zafascynował, może coś innego nieokreślonego, czego nie umiałem wówczas sprecyzować? Później to sobie uświadomiłem, to był człowiek nie zniewolony przez strach. Nazywał się Walenty Gdanicki.

Rembertów był obozem zbiorowym, zorganizowanym na terenie fabryki "POCISK". Zarząd i straż obozu sprawowały oddziały NKWD. Ogródzony był drutem kolczastym. W marcu 1945 r. większość więźniów stanowili Polacy, aresztowani i przywiezieni z różnych stron kraju. Oprócz nich byli też jeńcy niemieccy, volksdeutsche, jeńcy sowieccy z niewoli niemieckiej, cywilni obywatele ZSRR, być może własowcy, emigranci rosyjscy z czasów rewolucji, a także kilku Żydów...

Walenty Gdanicki - "kolejarz" - został zatrzymany za handel dolarami i tytoniem w jakimś mieszkaniu, do którego przypadkowo trafił, a w którym NKWD urządziło kocioł. Jakkolwiek udowodnił, że zapukał pomyłkowo nie do tych drzwi, do których powinien, aresztowano go. I oto wśród różnego rodzaju "zaplutyh karłów reakcji" znalazł się jeden handlarz dolarami. Człowiek, którego w warunkach okupacji i po tzw. wyzwoleniu nic innego nie obchodziło poza interesem własnym, człowiek, któremu wszelkie inne sprawy były całkowicie obce. Mówił, że zainteresowania jego sprowadzają się do dobrego jedzenia, przyrządzania różnego rodzaju specjałów kulinarnych, pieczenia i wyrobu win. Taki był "oficjalny" obraz pana Walentego i wersja o jego aresztowaniu. Od samego początku naszej znajomości "kolejarstwo" pana Walentego nie pasowało mi do jego sposobu bycia i oficjalnych opowieści o sobie. Odczuwałem, że jest to Ktoś, ale nie zada-

wałem żadnych pytań. On sam wobec mnie zdawał się nie traktować swojej "kolejarskości" zbyt poważnie.

Z upływem czasu coraz bardziej pękały ramy obrazu, w których miał się mieścić portret Walentego Gdanickiego, emerytowanego kolejarza handlującego dolarami i tytoniem. Kipiło z niego życie. Był pierwszym człowiekiem, którego osobowość tak mnie zafascynowała. Nie pamiętam okoliczności, w jakich dowiedziałem się, kogo kryje nazwisko Walenty Gdanicki. Mój szacunek, a raczej uwielbienie dla jego osoby wynikało z wyjątkowej miary człowieczeństwa, jakie w warunkach obozowych uwidaczniało się u niego z całą wyrazistością. W miarę poznawania stawał się moim ideałem męskości, o wielkim poczuciu godności i honoru, bez cienia pozy czy samouwielbienia, z których to cech nic nie tracił, wymigując się z wielu opresji dzięki ogromnemu talentowi aktorskiemu, jaki posiadał. Posługiwał się nim w różnych okolicznościach i sytuacjach. W podtekście brzmiała zwykle nuta kpiarsko-ironiczna w stosunku do wywodzonych w pole naszych władców życia i śmierci.

Cudowny gawędziarz, przenoszący nas swymi wspomnieniami daleko za druty. Miał co opowiadać, umiał i chciał nas wyrwać ze stanu przygnębienia i minorowych nastrojów. Koleżeński i dyskretnie opiekuńczy, bez względu na różnicę wieku czy poziomu intelektualnego, czego najlepszym dowodem był stosunek do takiego pod każdym względem szczeniaka, jakim wtedy byłem, mimo iż miałem za sobą ponad dwa lata konspiracji w AK, udział w akcjach i Powstaniu Warszawskim (Pruszków-Kampinos-Góry Świętokrzyskie).

W słoneczny, ciepły dzień 25 marca 1945 r., wywołując nas po nazwisku, ustawiono czwórkami, kompania za kompanią, i wyprowadzono z obozu na boczną kolejową, gdzie oczekiwał pociąg złożony z wagonów towarowych z zakratowanymi oknami. Z dachów sterczały rury kominowe piecyków. Tam kazano nam klęczeć. Wywołując nazwiskami, dokładnie rewidowano i konwojenci wyrzucali wszystko, co uznali za niedozwolone w transporcie, m.in.: łyżki, noże, materiały piśmienne, tytoń, zapalki, zmiany bielizny (jeśli ktoś takie posiadał). Zostawiano w zasadzie tylko naczynia do jedzenia, żywność i lekarstwa. Większość więźniów miała rzeczy osobiste w workach. Transport został skompletowany następnego dnia i ruszyliśmy w nieznaną...

Pan Walenty, Stefan Heller, płk Janusz Marcinkowski i ja, wraz z kilkoma jeszcze osobami, zajęliśmy górną narę od strony kierunku jazdy.

Wyżywienie składało się z kawałka chleba, solonych ryb i wiadra wody na wagon. Przydziały te były nieregularne, w odstępach od jednego do około trzech dni. W czasie całego transportu gotowane pożywienie otrzy-

maliśmy tylko dwukrotnie. Raz - podczas pierwszego postoju w Orszy, drugi raz - w Moskwie.

Po kilku dniach podróży zachorowałem na czerwonkę. Wtedy to pomocy udzielił mi pan Walenty. Dostałem od niego 12 tabletek bezcennej w tamtych warunkach tanałbiny. Zahamowały one krwawą biegunkę, na którą zmarło w transporcie wielu więźniów. Drugą chorobą, szerzącą się wśród nas, była róża. Stefan Heller po przebyciu tej choroby utracił wzrok w jednym oku.

Plagą towarzyszącą nam w czasie jazdy, jak i całego pobytu na Uralu, były wszy. W drodze szczególnie dokuczliwe z powodu braku wody, a co za tym idzie - możliwości utrzymywania nawet najskromniej pojętej higieny.

Podczas postoju pociągu co pewien czas podchodzili do wagonów konwojenci w towarzystwie pielęgniarki i pytali, czy wszyscy zdrowi i czy "miortwyj u was jest?" W pierwszym wypadku kończyło się na pytaniu w drugim zaś otwierano drzwi i zwłoki pod konwojem wynoszono do ostatniego wagonu, układając je jedno na drugie.

Solone ryby i wiadro wody co parę dni na 45 ludzi w wagonie, czyli mniej niż szklanka na jednego więźnia, powodowały dominację pragnienia nad innymi uczuciami. Poznałem uczucie głodu, ale dręczące nas stale pragnienie było trudniejsze do zniesienia. (...)

Krajobraz się zmienił. Zaczęło się pojawiać coraz więcej zabudowań. Zbliżaliśmy się do Moskwy. W Moskwie transport stanął na jakiejś boczni-
cy. Otoczenie przypominało dworzec towarowy. Czekaliśmy na dalsze wydarzenia. Otworzyły się drzwi, stanął w nich kapitan z dwoma konwojenta-
mi i wezwał ochotników do czyszczenia wagonów. Nie było chętnych. Powodowany chęcią zobaczenia Moskwy i ciekawy otoczenia, zgłosiłem się. Dołączono mnie do trzech takich jak ja ochotników. Kapitan z konwojenta-
mi zaprowadzili nas do odpowiednich wagonów w naszym pociągu, otworzyli je, wydając jednocześnie polecenie zabrania się do pracy. W wagonach leżały zwłoki. Kazano nam brać je za ręce i nogi, a następnie przenosić do ostatniego wagonu. W taki sposób wyczyściliśmy cztery wagony. Wróciwszy do naszego wagonu, napotkałem trochę ironiczne, ale pogodne i wyrozumiałe spojrzenie pana Walentego. Ten wzrok zdawał się mówić: "panie Tadeuszu, jak Moskwa? Piękne miasto, prawda?"

W czasie postoju w Moskwie wyprowadzono nas do łaźni. Mieściła się ona w budynku przy torach. W olbrzymiej sali, rozebrani do naga, nawlekaliśmy ubrania na żelazne kółka i powiesiliśmy je na ruchomych wieszakach, które powieszono do komór odwszalniczych, gdzie podlegały parowaniu w temperaturze 100°C. Myliśmy się "glinianym" mydłem, w drewnianych cebrzykach, czerpiąc wodę z kranów. Po umyciu następowało stryżenie i golenie. Głowy strzyżono nam na "pałkę". Następnie stwało się na

stołku pod ścianą. Urzędowała tam paskudna baba z brzytwą w ręku. Ostro dyrygując, goliła nam zarost poniżej pępka. W tłumie ostrzyżonych głów dostrzegłem czarną czuprynę pana Walentego. Był ostatnim, osobiście przywołanym, któremu ostrzyżono głowę...

Był mróz. Ruszyliśmy długą kolumną, brnąc w śniegu. Konwojenci ze spiczastymi bagnietami na karabinach szli obok nas, prowadząc psy, a konni galopowali ciągle to w przód, to w tył, pilnując, by nikomu nie przyszła ochota uciec do lasu. Po kilku godzinach marszu, zza zakrętu drogi, na górze, zobaczyliśmy lampy elektryczne na słupach, oświetlające jakieś wieżyczki, wysoki drewniany płot, a za nim dachy budynków. Był to obóz Kaszaj I.

W rejonie Sośwy znajdowały się dwa obozy - Kaszaj I i Kaszaj II, w których pracowano w systemie dekadowym, tj. 10 dni pracy i jeden dzień wypoczynku. Ten rytm pracy był bardzo wyczerpujący i wyniszczający. Do żadnego z obozów nie dochodziła linia kolejowa.

Przy pierwszym wyjściu do pracy komendant obozu poinformował nas, że jesteśmy tu na prawach internowanych wg międzynarodowej konwencji podpisanej przez ZSRR, ale będziemy pracować, ponieważ punktu o zwolnieniu internowanych od przymusowej pracy ZSRR nie podpisał.

Obóz od miejsca pracy dzieliło kilka kilometrów. Nadchodziła wiosna. Śniegi topniały w ciągu dnia. Idąc do pracy, przechodziliśmy przez strumienie, w których lodowata woda sięgała kolan. Wieczorem, w drodze powrotnej, mokre ubrania zamarały.

Pracowaliśmy w grupach po 6 do 8 ludzi. Naszym zadaniem było staczanie bali do rzeki. Przy następnym "sztablu" toczenie było niemożliwe, trzeba było bale nosić na drążkach do rzeki. Praca ta, ze względu na głęboki śnieg i nierówności terenu, była przeraźliwie ciężka. Dosłownie miało się wrażenie, że kręgosłup się łamie, a nogi wyginają. Chcąc sobie ułatwić zadanie, zaczęliśmy układać z cieńszych bali tor, po którym chcieliśmy staczać bale. Układanie trwało pewien czas, połowa toru była już wykonana, ale w tym czasie żaden bal nie znalazł się w rzece. Konwojent się zdenerwował. Potraktował układanie toru jako chęć wymigania się pracy. Wygłosił urzędowe ostrzeżenie, zarepetował karabin i kazał bale na drążkach nosić do rzeki. Musieliśmy także rozebrać tor.

10 maja 1945r., przed wyjściem do pracy, przy bramie obozu komendant poinformował nas, że Niemcy skapitulowały, wojna się skończyła i na cześć zwycięstwa wezwał do wykonania w tym dniu 200% normy.

Wyżywienie w obozach składało się z trzech wodnistych zup w porcjach po trzy czwarte litra i od 400 do 800 gramów czarnego gliniastego chleba, wydawanych po części rano i wieczorem. Rano porcje chleba dla wszystkich były jednakowe. Pracujący poza obozem otrzymywali wieczorem

uzupełnienie według "wyrabotki". W wypadku wykonania normy ponad 100% - do 800 gramów chleba. Jeśli norma nie została wykonana, wydzielano odpowiednio mniej.

Chleb był wypiekany poza obozem. Do blaszanych, podłużnych form nalewano ciasto chlebowe i wstawiano do pieca nagrzanego do bardzo wysokiej temperatury. Od razu tworzyła się na zewnątrz skorupka zatrzymująca wodę. W środku pozostawała mokra gliniasta i ciężka masa.

W pierwszym okresie pobytu pracowaliśmy w tym, co kto miał na sobie w chwili aresztowania. Ubrania szybko ulegały zniszczeniu. Pierwsze rozpadały się buty. Dawano nam wówczas onuce i łapcie z łyka drewnianego, w których chodziliśmy do pracy aż do nadejścia mrozów. Mrozy trwają tam przeważnie od końca września do początku maja.

Baraki lub ziemianki spełniały rolę sypialni i miejsca przebywania więźniów po pracy. W niektórych obozach istniał zakaz gromadzenia się więźniów poza barakami, z wyjątkiem czasu potrzebnego na sformowanie kolumn wychodzących do pracy, przejścia do kuchni czy łaźni, lub obowiązkowych przeliczeń więźniów, dokonywanych przez komendanta straży obozowej. W innych obozach zakaz ten nie był ostro przestrzegany. Zresztą zmęczenie pracą, wyczerpanie, mrozy w zimie, a "meszki" w lecie nie stwarzały zachęty do opuszczania baraków. "Meszki" - to małe muszki unoszące się chmurami nad ludźmi, tnące bardzo boleśnie.

Nieodłączne towarzystwo w barakach - to pluskwy. Gnieździły się w popękanych ścianach, wylepionych gliną, drewnianych pryzkach czy narach. W nocy wylaziły na żer, atakując ze wszystkich stron. Spadały deszczem z sufitu, nieomylnie celując, zwabione promieniującym od człowieka ciepłem. Walczyliśmy z nimi indywidualnie i zbiorowo. Ta ostatnia forma bitwy odbywała się w dni wolne od pracy...

Żyliśmy bez zegarków, trudno więc było określić, o której godzinie budzono nas do pracy. Przed wyjściem z obozu otrzymywaliśmy nieodmiennie wodnistą zupę z rozgotowanej kaszy i 200-300 gramów chleba. Racje zależały od tego, czy więźniowie wychodzili do pracy w lesie, czy pozostawali w obozie, i były w różnych obozach różne. Ze względu na ciągłe niedożywienie, wycieńczenie i permanentne zmęczenie, przemarsz przed rozpoczęciem pracy stawał się ogromnym obciążeniem. Dodatkowo każdego dnia trzeba było nosić tam i z powrotem narzędzia, których używaliśmy przy wyrębie lasu lub spławie drewna. Odległość od miejsca pracy pokonywało się w czasie 1 do 2 godzin. Szliśmy torami kolejki wąskotorowej, czasem błotnistymi lub zaśnieżonymi drogami polnymi. Ponieważ godziny na dojeździe i powrót do obozu nie były wliczone w 8-godzinny dzień pracy, trwała ona faktycznie ponad 12 godzin.

Po odjeździe pierwszego transportu do Polski (III kwartał 1945r.) wybrano grupę około 30 osób, w niej pana Walentego i mnie, by przeprowadzić nas do Borowlanki. Prosto z marszu zostaliśmy skierowani do różnych prac w lesie. Pracowaliśmy z panem Walentym w jednej grupie i sypialiśmy obok siebie. Ponieważ obaj nie odznaczaliśmy się siłą fizyczną, otrzymaliśmy III kategorię zdrowia, w związku z czym wykonywaliśmy tzw. lżejsze prace. Budowaliśmy linie kolejki wąskotorowej, zbieraliśmy gałęzie na porębie, przetaczaliśmy ścięte bale i wykonywaliśmy inne prace dorywczo nakazywane przez majstrów.

Wchodząc kiedyś na teren nowych wyrębów, zauważyliśmy zgniłe bale drewna ułożone w zupełnie inny sposób. Odczytaliśmy na nich głęboko wryte cyfry wskazujące rok wyrębu - 1864. Innym razem, również w lesie, napotkaliśmy grób ze zgnitym krzyżem, na którym dawała się odczytać data 1864 rok. Reszta napisu była zatarta. Przypuszczaliśmy, że są to ślady po zesłanych powstańcach roku 1963.

Była zima 1945/46 r. Mrozy dochodziły do -50°C . Po śniadaniu wyszliśmy do pracy. Nagle pan Walenty padł bezwładnie na śnieg. Zrobiło się zamieszanie. Konwój stanął. Z wraskiem przybiegł komendant konwoju i zdecydował, by zemdlonego odnieść do izby chorych. Czterech ludzi pod konwojem miało odtransportować pana Walentego. Byli zaniepokojeni, zastanawiali się, czy w izbie zastaną felczera i odpowiednie leki. Wtem z warg pana Walentego wydobył się szept: "do baraku". Było to po mistrzowsku zagrane omdlenie, w wyniku którego zyskał jeden dzień wolny od pracy na morderczym mrozie...

W zimie 1945/46 r. część więźniów z obozu w Borowlance, w tym pana Walentego, Jerzego Anczykowskiego, Stefana Czarnieckiego, Artura Pęskiego i mnie, załadowano na wagony kolejki wąskotorowej (nie do wagonów, bo zawsze były to odkryte platformy), aby przewieźć do obozu I Post. był to obóz przeznaczony dla więźniów zatrudnionych w lesie. Przebywaliśmy w nim do trzeciego kwartału 1946r. Zamiast baraków zastaliśmy ziemianki, w nich dwupoziomowe nary - półki ciągnące się po dwóch stronach przez całą długość pomieszczenia. Sypiało się ciasno, jeden obok drugiego, przykrywając kożuchami. Ciasnota dodatkowo chroniła przed zimnem. Za poduszki służyły gałęzie brzozy - pokarm dla kóz w okresie zimy.

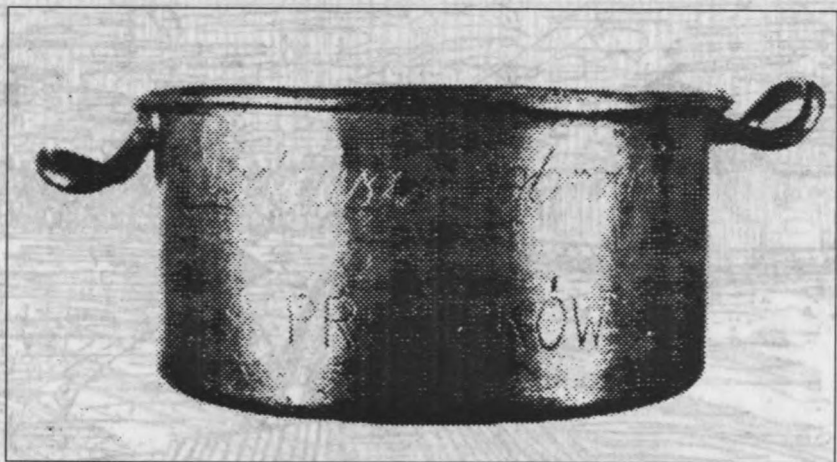
Był wśród nas jeden więzień, który rozpoznał pana Walentego. Jednak jego zachowanie wskazywało na poważne odchylenia psychiczne. Taką opinię o nim miały władze obozowe. Kiedyś zaczął wyśmiewać się z władz, że mają w obozie pułkownika, a nic o tym nie wiedzą. Nazwiska żadnego nie wymienił. Gadanię jego, tak więźniowie jak i władze obozowe traktowały jako urojenia chorego psychicznie.

Nie wiem, co było powodem, że pewnego dnia pan Walenty został zabrany poza obóz na przesłuchanie. Nie było go całą noc. Rano wrócił i jak zwykle poszedł z nami do pracy. Powiedział, że przez całą noc starano się wmówić mu współpracę z Niemcami, a szczególnie znajomość języka niemieckiego (którym zresztą władał), co miało być koronnym dowodem tej współpracy. Opowiadał, że za każdym razem pytał śledczego, czy zwróca mu dolary, zabrane przy aresztowaniu, bo z chwilą zwolnienia chciałby za nie kupić żywność. Pan Walenty chodził do pracy niewyspany. Wreszcie zwolniono go i pozwolono położyć się spać do baraku. Do śpiącego podszedł oficer śledczy i zapytał: "haben Sie gut geschlafen?" (czy dobrze się panu spało?). Pan Walenty, udając jeszcze zaspanego, odpowiedział: "nie ponimaju, skażytie po ruski, czewo wy chotitie?". Śledczy, machnąwszy ręką, odszedł, a pan Walenty nie był już więcej wzywany na badania.

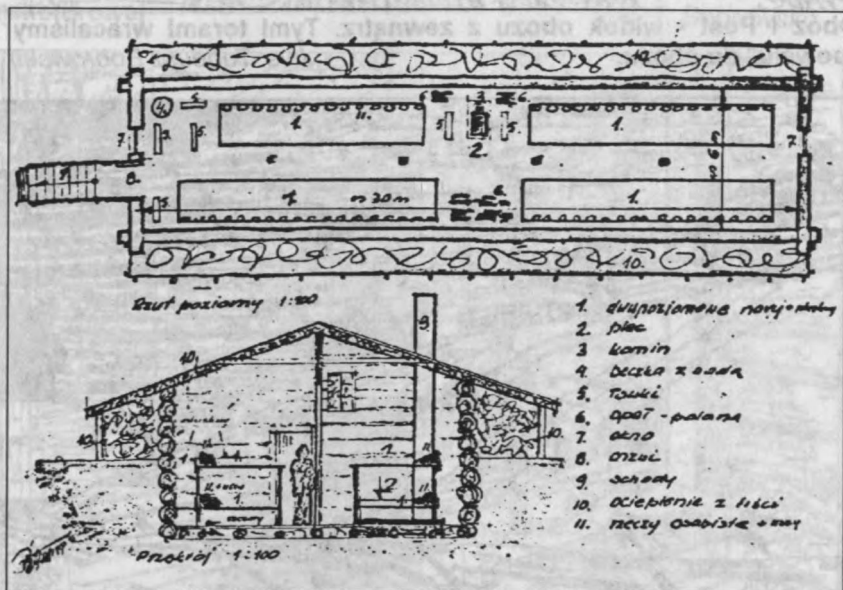
Po uwolnieniu z sowieckich łagrów generał Fieldorf powrócił do Polski, gdzie został zamordowany w więzieniu przy ulicy Rakowieckiej w Warszawie.



Rondelek - pamiątka z obozu; na ściance naczynia wryty napis: Walenty Gdanicki Warszawa

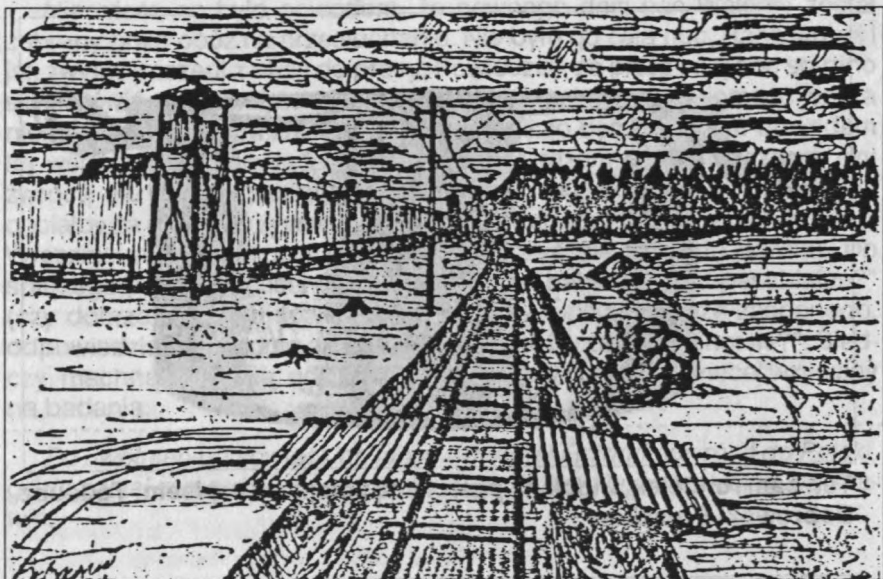


Ten sam rondel, widok na przeciwną ściankę z napisem: Tadeusz Bobrowski Pruszków



Obóz I Post - ziemianka: przekrój poziomy i pionowy

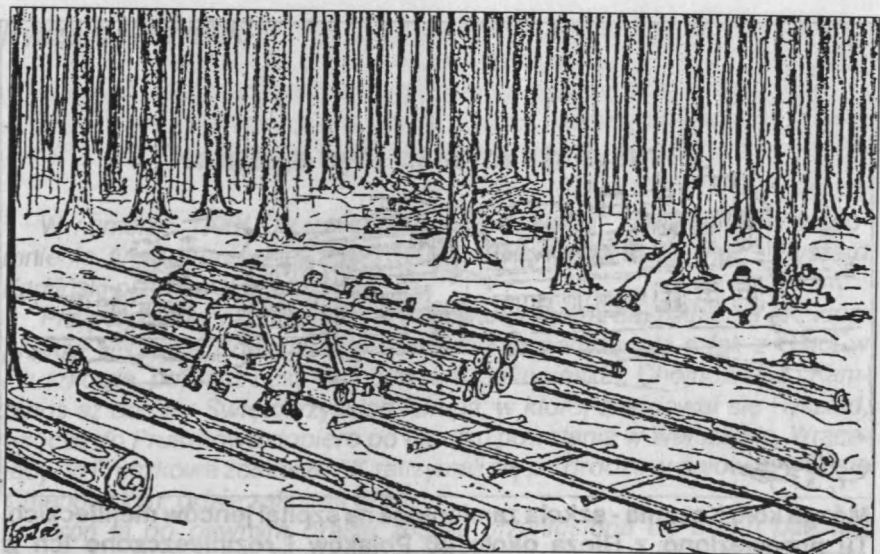
(rys. T. Bobrowski)



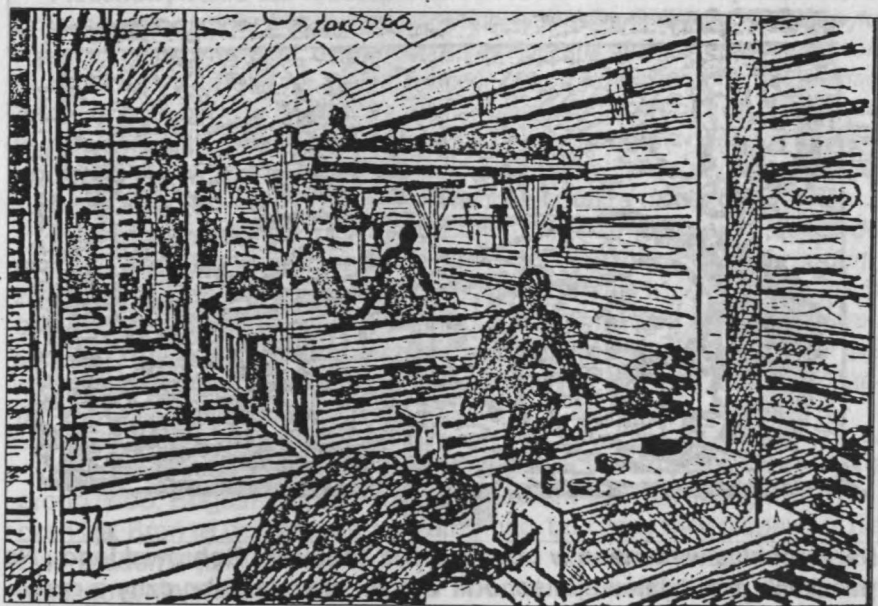
Obóz I Post - widok obozu z zewnątrz. Tymi torami wracaliśmy z "powątu" do obozu. (rys. Tadeusz Bobrowski)



Kaszaj I - transport bali ze "sztabla" do rzeki Sośwy (rys. T. Bobrowski)

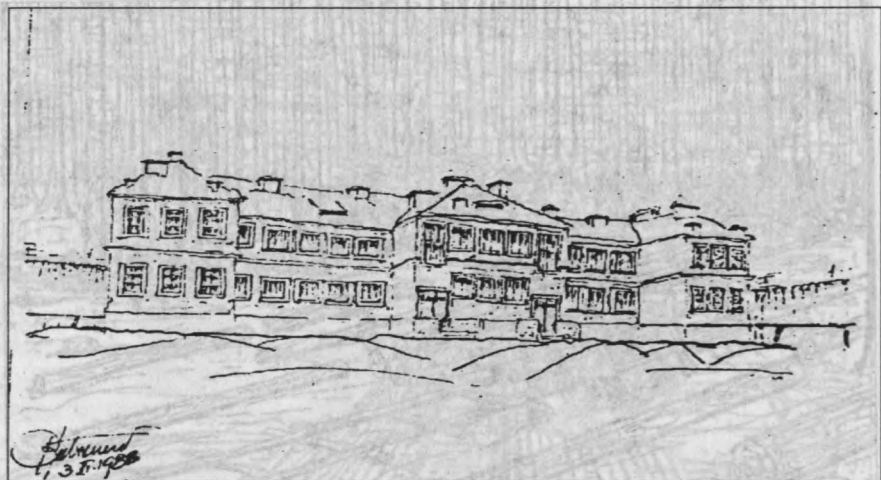


Trelówka - zwózka drzew z wyrębu na plac składowy przy torach kolejki wąskotorowej
(rys. T. Bobrowski)

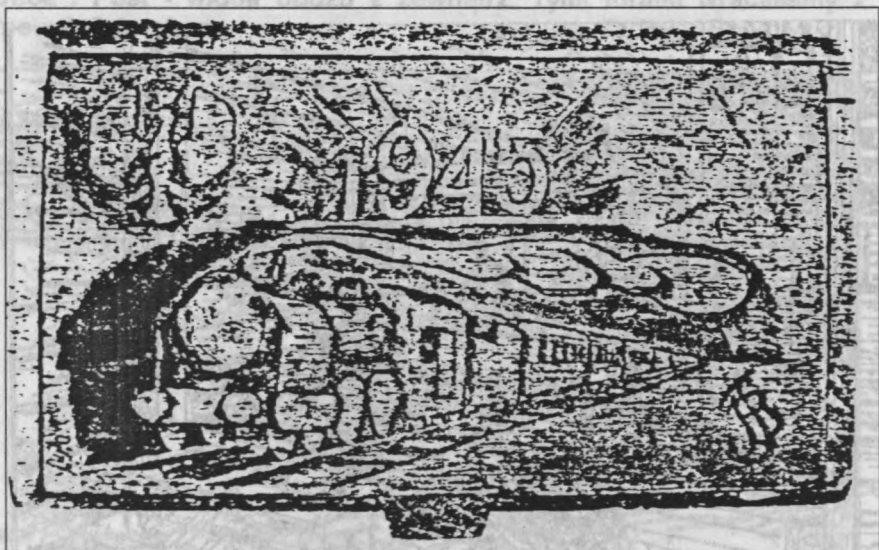


Ziemianka - przed wyjściem do pracy

(rys. T. Bobrowski)



Mózga koło Kazania - szkoła zamieniona na szpital jeńców niemieckich. Tu przywieziono z Rieży około 40 Polaków i rozmieszczono ich w dwóch salach lekcyjnych (rys. T. Bobrowski)



Papierośnica wykonana w obozie przez Tadeusza Bobrowskiego. Na paczkach przydzielowej machorki widniał stempel fabryczny z rysunkiem pociągu, który został skopiowany na wieczku papierośnicy.